Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok III. Kraków, dnia 17. Października 1909 r. Nr. 42.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do Administracyi „Roli“ w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny L. 8. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę) Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Rozumny głos.

Wyszedł on tym razem ze stronnictwa X. Stojałowskiego i jest tem ciekawszy, że X. Stojałowski idzie obecnie z wszechpolakami, którzy osiągnęli szczyt w nieszczerem domaganiu się czteroprzymiotnikowego głosowania. W ostatnim Nrze *Wieńca i Pszczółki* znajdujemy energiczne wystąpienie przeciw czterem przymiotnikom, które podajemy w głównych ustępach. Oto pisze ks. Stojałowski:

„W sprawie sejmowej wyborczej reformy do Sejmu obiecuje się ludności to, c o s i ę n i e d a p r z e p r o w a d z i ć; t o, c o b y b y ł o n a w e t s z k o d l i w e.

Obiecuje się prawo głosowania takie, jak do parlamentu, tak zwane czteroprzymiotnikowe: powszechne, bezpośrednie, tajne i równe — a nawet dwupłciowe, to znaczy, że oprócz mężczyzn, będą też głosowały niewiasty.

Kto nie chce ludu oszukiwać, i kto nie dba o to, aby dorównał socyalistom w obiecankach, albo się im podobał, ten powinien mówić prawdę, a więc oznajmić, że przy układaniu nowego prawa wyborczego do Sejmu, b ę d ą z a c h o w a n e k u r y e, tj. nietylko m i e j s k a i w i e j s k a, jak przy wyborach do parlamentu, lecz będą jeszcze dodane kurye inne, jakoto obszarów dworskich, izb rękodzielniczych i robotniczych.

Powiedzieliśmy otwarcie, że naszem zdaniem, t a k i e p r a w o w y b o r c z e j e s t s p r a w i e d l i w s z e, lecz to nasze przekonanie nie jest przecie decydujące. Decyduje tu zdanie tych, którzy w państwie mają głos stanowczy, tj. rządu. A rząd oświadczył, że nie mógłby zatwierdzić ustawy, opartej na takiej równości, którаby odbierała „osobne“ prawo głosowania tym zawodom lub stanom, które zajmują ważne i wybitne stanowisko w życiu społeczeństwa.

Już też zdarzyło się tak na Śląsku, że Sejm śląski uchwalił „nową ustawę wyborczą“ — lecz

gdy ją odesłano do Wiednia, oświadczył rząd, że „takiej“ ustawy nie przedłoży cesarzowi do sankcyi — i wskutek tego co się stało? Stało się to, że nowa ustawa wyborcza była przez Sejm uchwalona — lecz ponieważ nie uzyskała sankcyi monarszej, musiały wybory odbyć się wedle ustawy starej. Zmiana tedy ustawy poszła w odwłokę — zapewne na nowe lat sześć!

To samo co się stało na Śląsku, może się stać i u nas. Stronnictwa, które chcą ustawy powszechnej, bezpośredniej, tajnej — i „równej“, chcą chyba przewlec zmianę reformy wyborczej sejmowej. Będą ją układali jeszcze z rok lub dwa — potem pójdzie do Wiednia, Wiedeń zaś będzie badał ustawę także rok przynajmniej, a tymczasem przyjdą nowe wybory, a ustawa choć będzie gotowa, nie będzie miała zatwierdzenia rządu, więc potrzeba będzie wybierać znowu wedle „starej“ ustawy!!

Miejmy się tedy na baczności! Zwykle tak bywa, że kto chce za wiele — traci i to mniej, któreby mógł uzyskać. A i to znane już z doświadczenia, że ci, którzy obiecują bardzo dużo, często nie myślą szczerze o tem, aby dotrzymali słowa, lecz więcej o tem, aby oćmili ludzi obiecankami i pozyskali sławę obrońców praw ludowych.

Do szczerej jednak obrony praw ludowych najzupełniej wystarczy, jeżeli prawo głosowania będzie powszechne, bezpośrednie i tajne, oraz jeżeli ludowi będzie przyznana odpowiednia ilość mandatów.

Kto zatem szczerze chce, aby ustawa wyborcza do Sejmu była rzeczywiście przeprowadzona, ten powinien się starać o to, aby Sejm uchwalił powszechne, bezpośrednie i tajne prawo głosowania najpóźniej w r. 1910, aby ta ustawa mogła być w tymże roku odesłaną do Wiednia. Gdyby zaś Wiedeń zażądał jakiejś zmiany w ustawie, żeby mogła ona wrócić na czas do Sejmu — i być nietylko uchwaloną, ale też zatwierdzoną przez monarchę, nim nadejdzie czas nowych wyborów.

Stronnictwa jednak wszystkie, oprócz stańczykowskiego głoszą, że żądają nietylko powszechnego, bezpośredniego i tajnego, ale także równego prawa głosowania.

Dlaczego to czynią? Zdaje się dlatego, że żadne nie chce być gorszem niż drugie, a może i dlatego, że trzeba żądać więcej, aby uzyskać mniej.

Innemi słowami robi się to, a raczej mówi dla agitacyi.

Najstarszemu jednak między stronnictwami ludowemi — i do tego chrześcijańskiemu stronnictwu nie przystoi mówić to, o czem się wie bardzo dobrze, że nie da się przeprowadzić, albo obiecywać ludowi to, co na razie jest niemożliwe, a tembardziej to, o czem się nie ma pewności, że jest dobre.

My zaś raczej mamy dowody, że równe głosowanie jest złe, niż że jest dobre, i dlatego nie wahamy się przestrzegać przed wprowadzeniem takiego prawa głosowania do Sejmu.

Równe niech będzie głosowanie o tyle, aby każdy głosował i każdy miał tylko jeden głos, ale nie możemy żądać takiej równości, która może wyjść i wychodzi na szkodę bliźniego — i zamyka innym obywatelom drogę do poselskiego mandatu“.

* * *

Przytoczyliśmy ten artykuł, jest on bowiem niezmiernie ważny z wielu powodów. Przedewszystkiem dlatego, że X. Stojałowski daje nim pośrednio naukę swoim sprzymierzeńcom wszechpolskim, oraz innym stronnictwom, agitującym za równem głosowaniem. Powiada im wprost, że działają nieszczerze i lud oszukują. Mimochodem zaś, chcąc nie chcąc, przyznaje wielkim rolnikom-konserwatystom, że oni jedni ludu nie oszukują i nie obiecują mu czteroprzymiotnikowego głosowania, raz dlatego, że jest złe, powtóre dlatego, że rząd by się na nie nigdy nie zgodził. Takie przyznanie przyszło zapewne ciężko X. Stojałowskiemu, gdyż X. Stojałowski z wielkimi rolnikami jest w stałej niezgodzie, ale jest tem cenniejsze.

Życzymy X. Stojałowskiemu, aby rozumne nauki jakie daje wszechpolakom i innym agitatorom za czterema przymiotnikami, odniosły skutek. Nie agitacyi nam trzeba, ale rozumnej pracy dla kraju. *Rola* zaś cieszy się, że i inne pisma ludowe podnoszą teraz, jak to czyni X. Stojałowski, myśl, którą ona pierwsza rzuciła: że reforma wyborcza powinna dać głos każdemu, jak do Wiednia, ale nie na podstawie cztero-przymiotnikowego gadania, tylko stosownie do potrzeb kraju i jego stosunków. Znak to, że nietylko *Rola* rusza się, aby zwalczać ćmienie wyborców i obiecywanie im gruszek na wierzbie. W takiej pracy zawsze znajdziemy się na miejscu, aby pomódz według sił, bo im mniej bałamucenia, tem jaśniejsza przyszłość kraju.

Sprawy sejmowe.

Projekty ustaw melioracyjnych.

Między innemi przedłożeniami Wydział krajowy wniósł w bieżącej sesyi do Sejmu sprawozdanie o melioracyach, obejmujące postęp budowy przy publicznych przedsiębiorstwach melioracyjnych w r. 1908, sprawozdanie z czynności krajowego biura melioracyjnego, oraz wnioski w sprawie podjęcia nowych przedsiębiorstw melioracyjnych.

Wydział krajowy przedłożył Sejmowi 10 projektów ustaw, zapewniających wykonanie nowych przedsiębiorstw melioracyjnych, z tych trzy dotyczą Wisły, a mianowicie:

1) Obwałowanie lewego brzegu Wisły od ujścia Przemszy do Bielan w powiatach krakowskim i chrzanowskim kosztem 9,000.000 kor., przy 50 prc. udziale państwa, 40 procent kraju i 10 procent datku konkurencyjnego powiatów. Ten ostatni datek ma być tymczasowo pokryty z funduszu krajowego, a zwrócony krajowi w 20 równych ratach rocznych po skończeniu budowy. Roboty mają być wykonane w 20 latach, począwszy od r. 1910.

2) Obwałowanie prawego brzegu Wisły od ujścia Przemszy do Bodzowa w powiatach wielickim, wadowickim i bialskim, kosztem 11,200.000 kor., przy 50 prc. udziale państwa, 40 prc. kraju i 10 prc. interesowanych powiatów. Datek powiatów ma być spłacony krajowi w 20 ratach rocznych po ukończeniu budowy.

3) Obwałowanie prawego brzegu Wisły od ujścia potoku Dańkówki do ujścia Przemszy w pow.

bialskim, kosztem 1,190.000 koron, przy udziale 50 prc. państwa 40 prc. kraju i 10 prc. powiatu. Roboty mają być wykonane w ciągu lat pięciu, począwszy od roku 1910.

Precz z pieniactwem.

Na jednem z posiedzeń Sejmu krajowego poseł Skarbek postawił wniosek w sprawie ustanowienia gminnych urzędów rozjemczych, któreby drobiazgowe spory rozstrzygały i załatwiały na miejscu, bez uciekania się do sądów. W uzasadnieniu swego wniosku, który nie jest nowością, bo podobne jemu już kilkakrotnie w Sejmie były stawiane, przytoczył cyfry i fakty, które naprawdę każdego zgrozą przejąć muszą i pobudzić do zastanowienia się i walki z jedną z największych plag trapiących kraj i jego ludność, jaką jest pieniactwo.

Statystyka uczy, że w samej Galicyi jest więcej procesów rocznie, aniżeli we wszystkich innych krajach monarchii razem. I tak, w roku 1906 wniesiono do sądów galicyjskich 728.943 skarg drobiazgowych, podczas gdy liczba takich samych skarg we wszystkich innych krajach monarchii wyniosła w tym samym czasie tylko 404.045. W Galicyi zatem wniesiono w roku 1906 o 234.898 skarg drobiazgowych wiecej, aniżeli we wszystkich innych krajach monarchii razem wziąwszy, pomimo, że ludność Galicyi wynosi około 8,000.000 wobec przeszło 20,000.000 ludności reszty krajów monarchii.

Skarg o naruszenie posiadania wniesiono w Galicyi w tym samym czasie 20.002, w innych krajach tylko 7.676 — zatem w Galicyi samej wicej o 12.336.

Skarg o obrazę honoru, czyli tak zwanych „pyskówek", wpłynęło w Galicyi w r. 1906 okrągło 900.000, podczas gdy we wszystkich innych krajach razem wpłynęło ich tylko 530.400 — samych zatem skarg o obrazę honoru wniesiono w Galicyi w roku 1906 o 349.600 więcej, aniżeli w całej monarchii.

Jestto obraz przerażający. Zbyteczne byłoby rozwodzić się nad stratami moralnemi, jakie pieniactwo w kraju naszym sprowadza, ile zbrodni, nienawiści i nieszczęść rodzinnych te ciągłe procesy powodują. Natomiast trzeba podkreślić olbrzymie straty materyalne, jakie ludność Galicyi tytułem kosztów procesowych na marne wyrzuca. Szkody te polegają na olbrzymich kosztach procesowych, które powstają wskutek wynagrodzenia adwokatów i innych doradców prawnych, stempli, wydatków powstających w procesie, jak koszta świadków, komisyi, rzeczoznawców itp., wreszcie olbrzymia strata czasu tak dla stron, spór wiodących, jakoteż dla świadków.

Nie można ustalić ile kosztuje proces przeprowadzony przez sąd, gdyż zależne to jest od zbyt wielu okoliczności, śmiało jednakże powiedzieć można, że często koszta procesu przekraczają bardzo znacznie wartość rzeczy spornej. Wobec kosztu stempli, które przy końcowej uchwale procesu o naruszenie wynoszą 8 kor. a najniższych kosztów adwokackich, które sędzia przy sporze drobiazgowym przyznać musi 5·38, w sporze zaś o naruszenie 10·18, można przyjąć, rachując bardzo nisko, koszty jednego procesu drobiazgowego przeciętnie 6 kor., jednego zaś procesu o obrazę honoru 4 kor., wreszcie koszty o naruszenie w posiadaniu 20 kor.

Licząc w Galicyi rocznie 728.993 procesów drobiazgowych tylko po 6 kor., otrzymujemy kwotę **4,373.658 koron.** Licząc dalej 900.000 sporów o obrazę honoru po 4 kor., otrzymujemy kwotę 3,600.000 kor. Licząc w końcu 20.000 procesów o naruszenie w posiadaniu po 20 kor., otrzymujemy 400.000 kor.

Z połączenia tych kwot wynika, że ludność Galicyi wydaje na te procesy, nie licząc innych, olbrzymią kwotę 8.373.658 kor. (bez mała dziewięć milionów).

Wobec tej przerażającej sumy, która przepada marnie, bez pożytku dla kraju i ludności, należy wszelkiemi możliwemi środkami odwodzić ludność od procesowania się, a skłaniać ją do załatwiania sporów w drodze ugodowej.

O pieśni polska!

O pieśni polska! Masz ty w naszej duszy
Dolą, niedolą stawiane ołtarze,
Od onej rzewnej ligawki pastuszej,
Aż po natchnieniem wniebowzięte twarze,
Wszystko tą ziemią ze śpiewaniem chodzi,
W pieśni: łzy płyną, w pieśni: „Bóg się rodzi"!

Małemu dziecku matka nad kołyską
Prostaczą śpiewką wita świat w pozłocie...
Lipcowem słońcem malowane rżysko...
Piosenka dzwoni z uwrocia w nawrocie...
Tam znów — dziadula ktoś pod brzózką grzebie,
I znów pieśń leci, że ją słychać w niebie!

Chłopek za pługiem, żebrak nu odpustach,
Dziewczyna w wianku, czy rycerz w zbroicy,
Wszystko to miało swoją pieśń na ustach,
Swoje kochanie, swoją łzę w źrenicy!
To pieśnią żyło i zmarło z nią w krtani,
I kapłaniło jej i dziś kapłani!

Gdyby tak można z pod latosiej pleśni
Dobyć te echa, co milczą w ciemności,
Toby wstał jeden wielki kościół — pieśni!
Pieśni Nadziei! Wiary! i Miłości!
Pieśni — co w ludzkim urodzona progu,
Mógłby aniołów chór śpiewać... tam! Bogu!

I Pan by słuchał jej, jak wielkiej skargi,
Jako melodyi łez z ziemskich padołów!
I może jaka łza przez Boże wargi
Na białe skrzydła padłaby aniołów
Z rozkazem, aby polecieli w zorze
Budzić tą pieśnią to, co wskrzesnąć może!

Sprawy emigracyjne.

Rozpusta na Saksach.

Pisaliśmy już o tem na wiosnę. Teraz możemy dodać to, co pisze wielkie pismo ludowe z pod Prusaka, *Gazeta grudziądzka*. Oto co w niej czytamy:

Przytaczamy listy księży pisane z Meklemburgii do proboszcza Sychowskiego w Śliwowicach, które dotyczą zepsucia, panującego w Meklenburgii wśród wychodźców i braku nabożeństw, a zatem braku opieki duszpasterskiej nad wychodźcami. X. prob. Beckers z Waren, w Meklemburgii pisze:

Wyjąwszy urzędników i pastorów, patrzy tutejsza ludność obojętnem okiem na wyznanie religijne, jedynie rząd czyni niemożliwe trudności; zdaniem jego „nie ma potrzeby“ odprawiania nabożeństw katolickich. Obecnie starają się kupcy w Goldberg wszelkiemi siłami o katolickie nabożeństwa i udali się z tem do rządu (czynią to dla zysków, ponieważ wychodźcy w dniach nabożeństw zostawiają u nich grube pieniądze, jak ks. Beckersa zapewniali kupcy sami. Przyp. Red.). W pewnej liczbie miast odbywają się nabożeństwa katolickie raz na miesiąc. Przodownicy, którzy Meklemburgią znają, wiedzą o tych nabożeństwach; uczciwi przodownicy starają się też tylko o pracę w takich miejscowościach, gdzie mają blisko do kościoła.

Jeżeli ludzie nie mogą udawać się na nabożeństwa, to wśród nich wygląda — przeważnie — bardzo źle z obyczajnością. Na dobrym przodowniku zależy wszystko; dlatego też jest mi najzupełniej niezrozumiałem, jak ludzie katoliccy mogą się udawać do przodownika ewangielickiego. Aż nazbyt często nie dochodzą z powodu tego nasze doniesienia o nabożeństwach katolickich, ludzi katolickich. Pod tym względem grzeszą najwięcej ludzie z Rosyi, którym najzupełniej jest obojętnem, jakiego wyznania są przodownicy; Polacy z Prus są przeważnie rozsądniejsi. Dla tego mamy też o wiele łatwiejszą nad nimi pracę; prowadzenie się ich jest też o wiele lepsze.

Staramy się wprawdzie o przyswojenie sobie języka polskiego, ja n. p. umiem tyle, że mogę ludzi wysłuchać spowiedzi — nie rozumiem jednak nieraz wszystkiego i nie mogę udzielić stosownej nauki, czytam ludziom również „Słowo Boże“ z poznańskiego *Przewodnika Katolickiego*, a jednak mówią ludzie z pod Moskala: to jest niemiecki ksiądz, nie możemy iść do kościoła.

Niebezpieczeństwa pod względem obyczajności są tutaj bardzo wielkie. Wszystko zależy jednak od przewodników. Jeżeli oni obcują z dziewczętami, to co robią ich ludzie! Przecież nie jest wcale rzadkością, że chłopacy i dziewczęta śpią w jednem miejscu, prawda, że policya tego zakazuje, lecz policyą tworzy dziedzic majątku, który się tylko o pracę ludzi troszczy. — Chrztów św. udzielamy tutaj w kraju połowę nieślubnym dzieciom, najczęściej z dziewczyn z Król. Polskiego.

Ks. prob. Pick z Gross Ammensleben pisze, że w jego parafii co rok około 800—900 polskich wychodźców pracuje. Latem zeszłego roku urządził nabożeństwa polskie, które odprawiał pewien ojciec Jezuita. Do spowiedzi św. przybyło tylko 341 osób. Około 250 z nich mówi po niemiecku, lecz Sakramentów św. nie przyjmują regularnie. X. Pick pisze, że może ludzie nie chcą spowiadać się po niemiecku, sądzi jednak, że głównym dowodem musi być coś innego. A dalej pisze dosłownie: „Dopóki wychodźtwo uprawiane będzie przez agentów itd., dopóty pozostaną stosunki pod względem relegijnym i częstokroć i obyczajowym tak opłakane jak dotąd. Największe dobrodziejstwo wyświadczy ks. proboszcz swym parafianom, jeżeli postara się o pracę dla nich w ojczyźnie.

Oto głosy dwóch księży Niemców kończy *Gaz. Grudz.* Mówią one same za siebie. Można sobie wystawić, co za okropne rzeczy dziać się muszą wśród naszych wychodźców zimą. Nie można w gazecie opisywać tego błota i kału, w których się nasza młodzież nurza w Meklemburgii, w Saksonii, w Pomrach. Lecz czego pióro na papierze wypowiedzieć nie może, to każdemu rodzicowi, każdej rodzicielce dopowie serce, dbałe o dobro duszy dziecka. Dlatego, Rodzice, nie pozwalajcie dzieciom zostawać zimą w obcych stronach, nie przyczyniajcie się niedbałością waszą do tego, ażeby tam utonęły w bagnie bezwstydu i hańby, by częstokroć stawały się morderczyniami nawet swych nieślubnych dzieci. Bo i takie wypadki nie są tam rzadkością. Nie mówimy że wszystkie dziewczyny, że wszyscy młodzieńce tak postępują, jednakowoż rozpusta pochłania powoli i najcnotliwsze jednostki, gdy im brak opieki.

Jak Duńczycy wydobyli się z biedy?

(Dokończenie).

W 1896 roku Prusacy zabronili wwozić świnie z Danii. Wielka to była szkoda dla gospodarzy duńskich, ale ludzie oświeceni na wszystko znajdą sposób — więcej pozakładali rzeźnie spółkowe i zaczęli wyrabiać dużo mięsa solonego; w tymże roku, kiedy im Niemcy zakazali wwozić świninę, sprzedali jej zagranicę (najwięcej do Anglii za 57 milionów, a w 1906 roku 75 milionów).

Teraz słów kilka o ptactwie. Dzięki spółkowym mleczarniom, duńscy włościanie mając więcej wolnego czasu, zaczęli zaprowadzać rozmaite ptactwo (zwłaszcza kury) i sprzedawać jaja. A dla tego, by każdy gospodarz nie miał dużo z tem kłopotu, zrobili to samo co z mlekiem: pozakładali spółki, które zabierają od gospodyń jaja i sprzedają je zagranicę.

W 1900 roku było w Danii takich spółek 400, które się złączyły w jeden związek; członków było 25 tysięcy. Każdy, kto się przyłącza do spółki, płaci 75 hal., a oprócz tego po $2^1/_2$ hal. od każdej kury. W Anglii kurze jaja duńskie są uważane za najlepsze. Nic też nie ma w tem dziwnego, bo spółka śledzi za tem, by jaja były świeże i czyste. Co tydzień, najęci przez spółkę ludzie, objeżdżają wszystkie gospodynie, które należą do spółki i zabierają od nich świeże jaja. Więcej niż tydzień jajko nie powinno leżeć. Kto zaś da nieświeże jajko płaci 15 K kary. A, że ten, co zbiera, na każdem jajku kładzie znak, kiedy i od kogo wzięte, to winowajca nie może się ukryć. I za ten towar, zdaje się niewielki, Duńczycy jednego 1900 roku utargowali 22 miliony koron.

Wieleby jeszcze można było powiedzieć o gospodarce Duńczyków — bo warto się przypatrzeć temu, jak gospodaruje ten naród, u którego chociaż ziemia z natury nieszczególna, jednak żyje w dostatkach, żyje szczęśliwie i więcej zarabia od swoich sąsiadów — Anglika, Francuza i Niemca.

Był czas i to niedawno, kiedy Duńczycy myśleli, że z nędzy i głodu rozproszą się jak żydzi po całym świecie, a kraj ich zrobi się pustkowiem, a kraj ich zagarną zazdrosne i złodziejskie ręce sąsiada Prusaka. Jeszcze w 1889 roku więcej niż dziesięć tysięcy rolników duńskich wyjechało do Ameryki, Afryki, bo nie mieli pewności, że można będzie coś zrobić ze złym gruntem. Dodajmy do tego, że przed laty był tam ogromny bezład, bezprawie, każdy robił wszystko na własną rękę, słowem było to, jakby stado owiec bez pastucha.

Ale oto kraj ten się odrazu zmienił! a cudu tego dokonały: d o b r a o ś w i a t a i k o o p e r a c y a (wspólna praca). I teraz żaden najmniejszy gospodarz nie zostaje bez opieki i nie robi nic samopas; tam każdemu, kto się znajduje w kłopocie, śpieszą na pomoc różne towarzystwa i spółki.

Trzeba mu ulepszyć łąkę, lub błoto wysuszyć; trzeba mu zdaleka przywieść białego wapna, na ulepszenie piaszczystej ziemi; trzeba mu pomocy lub pieniędzy, żeby zalesić ziemię nieużyteczną; trzeba mu buhaja lub ogiera, żeby zaprowadzić lepszą rasę, lub dobrego nasienia trawy na paszę — na to wszystko nietylko mu dopomogą pożyczką, pieniędzmi, ale przyszlą bezpłatnie do niego nauczyciela, który mu wszystko rozpowie i pokaże, jak i co zrobić, żeby z tych pieniędzy była rzeczywista korzyść. I pomoc i naukę znajdzie on nie u jakiegoś łaskawcy, ale u s i e b i e s a m e g o, w s w o j e m t o w a r z y s t w i e, gdzie on taki sam członek, jak i inni.

W Danii towarzystwa i spółki nadają całemu życiu krajowemu kierunek, bo one dają ludziom i pieniądze i oświatę. Związek spółek za 10 lat założył 1.400 czytelń ludowych po wsiach.

W ostatnich czasach zaczęto dopomagać w osiągnięciu nauki najbiedniejszym włościanom. Otóż, aby tacy gospodarze mogli się oświecić i nauczyć lepiej gospodarować, Związek towarzystw wysyła ich w podróż na oględziny całego kraju. W tym celu włościańskie towarzystwo wybiera w swojej okolicy z pomiędzy tych drobnych gospodarzy kilku najrozumniejszych i którym warto dopomódz nauką; Związek zaś daje im pieniądze i wysyła ich na 3—4 tygodnie w podróż, żeby oni mogli opatrzyć różne miejscowości w Danii.

Oglądają oni, podczas tej podróży, wzorowe gospodarstwa, mleczarnie, spółkowe rzeźnie, fabryki maszyn i szkoły, a napatrzywszy się na to wszystko, każdy z nich ma dobrą naukę; każdy z nich napatrzywszy się na wzorową gospodarkę, nie jedną rzecz zechce i u siebie zaprowadzić. Ale opatrują oni nietylko gospodarstwa, lecz też i miasta, a w nich świątynie, wystawy obrazów, rzeźby, muzea, budynki — słowem wszystko, co się tyczy przeszłych dziejów ojczyzny; bo Duńczycy dobrze to rozumieją, że kto nie szanuje swej przeszłości i nie wie kto byli jego dziadowie — pradziadowie i co oni zrobili dobrego dla kraju, ten nie umie sam siebie szanować, nie wie, kto on taki i po co żyje na świecie.

Takim podróżnikom wszędzie dają tanio mieszkanie i stół, wszędzie ich oprowadzają i wszystko pokazują. Dzięki tym wędrówkom, nauczycielom wędrującym, oświacie i towarzystwom (kooperacyi) zrobili się teraz duńscy włościanie najbardziej oświeconymi i najbogatszymi ludźmi w całym świecie i idą wciąż naprzód.

Takie to dobrodziejstwa płyną ze spółek i towarzystw.

KOMPOST.

W każdem gospodarstwie gromadzi się dość znaczna ilość odpadków, tak zwanych śmieci, które chociaż z poglądu żadnej nie przedstawiają wartości, mogą jednak stosownie użyte, przyczynić się do użyźnienia roli. Nadobne pogodzić z pożytecznem należy do zadań roztropnego rolnika. Żadna z pięknych gospodyń naszych nie zniosłaby śmiecia w izbach, więc usunąć je trzeba, ale nic nie przeszkadza, by zamiast wyrzucać do przydrożnych rowów, zużyć te śmiecia na kompost, który nam bez kosztów dochodu przysporzy.

W tym celu, w obrębie zagrody ustronne miejsce wybrać należy, n. p. za stodołą i tam gromadzić, składając na kupę wszelkie odpadki. A nadają się do tego: śmiecia z izb, sadze, popioły, zmiotki z podwórza, stodoły, komory i strychów, wszelkie chwasty nieużyteczne, które starannie po rowach, miedzach, po pod płoty i budynki wycinać i na tę kupę zwozić należy. Zużyć tu można bylinę z ziemniaków, perz itp. które w ogóle w inny sposób wykorzystać trudno. Odpadki takie, jak kości, skórę, szmaty i t. p., jako trudniejsze i z tego powodu dłuższego wymagające do rozkładu czasu, na osobną należy składać kupę. Dowozić ziemię z rowów, błoto z gościńców, choćby za takowe dróżnikowi zapłacić, wreszcie odchody ludzkie, które bardzo starannie zbierać należy, jako wielką ilość pożywnych dla roślin składników zawierające, i pomiot z pod drobiu.

Przy kompoście starać się musimy, by nagromadzone materyały doprowadzić jak najrychlej do rozkładu, tak, by postaci tych materyałów rozpoznać nie można a kompost przedstawiał się jak jednolita czarna ziemia. Wtedy jest gotowy, dobry do użytku, inaczej bowiem nie dałby się równomiernie na polu rozdzielić. Dlatego to nie jest wskazanem, materyały przydatne na kompost, mieszać na gnojarni do nawozu stajennego.

Ażeby kompost do roku należycie się rozłożył, należy w tym celu, gromadzone materyały przesypywać wapnem, które jak wiadomo, wpływa dodatnio na rozkład ciał organicznych. Nadto w celu doprowadzenia powietrza należy całą kupę kompostową kilka razy w roku przerobić łopatami, a w razie posuchy polewać wodą. Powietrze bowiem i wilgoć sprzyja rozkładowi czyli gniciu. Tak postępując można sobie bez kosztów — tylko nieco starania — znaczną ilość bardzo dobrego nawozu przysporzyć.

Kompost szczególnie nadaje się na łąki. Należy wywozić w jesieni w czas suchy, by wozami darni nie niszczyć; na zbronowaną łąkę wprost z wozu rozrzucać łopatami i ponownie łąkę zbronować.

Wprawdzie trudno tyle w jednym roku kompostu urobić, by całą można łąkę znawozić, ta jednak okoliczność zrażać nie może, bo i nawozu stajennego na wszystkie role nam nie wystarcza,

a i „Kraków nie od razu zbudowany". Co roku po kawałku a w paru latach cała łąka znawożoną będzie i trud nasz w lepszych zbiorach siana sowicie opłaci. A i ci, którzy łąki nie mają, o kompost starać się powinni, gdyż ten i na roli w wysokim stopniu dodatnio działa.

Jeżeli dogodniej byłoby wywozić kompost ze względu na wolniejszy czas w zimie, to w celu ochronienia od zamarznięcia, należy kupę kompostową w jesieni starannie okryć, do czego użyć można bylin z ostatniego zbioru ziemniaków. Byliny te po wywiezieniu kompostu zużyć na następny kompost.

Zbierajmy więc wszelkie odpadki i śmiecia na kompost, bo tym możemy podnieść dochód z pól naszych.

W Tęgoborzy 8, X, 1909.

O. de B. S.

Do Grobu Chrystusa Pana.

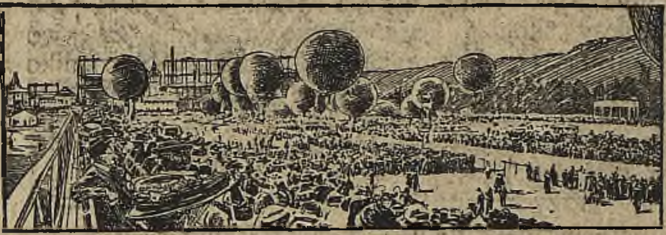
(Z pielgrzymki polskiej do Palestyny).

II.

Mur płaczu, meczet Omara i El-Akša, Stajnie Salomona.

Zwyczajnie po południu około godziny 3-ciej, o ile byliśmy w Jerozolimie, odbywaliśmy wycieczki piesze do miejsc w pobliżu Jerozolimy położonych.

Balonem ze Szwajcaryi do Polski.



Odlot z Zürichu. (Patrz artykuł).

Ciekawym jest tak zwany „Mur płaczu" na górze Moria, gdzie stała świątynia Salomona. Otóż mury te są resztkami murów ze świątyni za czasów żydowskich i dziś mają jeszcze w dolnej części 18 metrów wysokości, a zbudowane z olbrzymich kwadratowych kamieni, które do naszych czasów przetrwały. W każdy piątek około 4-tej godziny po południu schodzą się tu żydzi ze swymi rabinami, ubrani w różnokolorowe szaty, modlą się gorąco przy tych zwietrzałych i poczerniałych od starości głazach, całują ze czcią wielką mury i płaczą.

Na górze Moria, gdzie dawniej wznosiła się świątynia Salomona, stoi obecnie świątynia turecka, tak zwany Meczet Omara (Haram-esz-Szeryf). Tutaj to Abraham zamierzał ofiarować syna swego Izaaka, tu Chrystus Pan jako dwunastoletni młodzieniec przybył z Nazaretu i w tej świątyni siadywał pośród kapłanów żydowskich, tutaj potem nauczał, stąd wypędził przekupniów, tu cudów dokonywał, tu wreszcie znaiazła go Najśw. Panna i t. d. — Meczet Omara to wspaniała świątynia, zbudowana w kształcie ośmiokąta z różnokolorowych niebieskawych cegiełek.

Chcąc zwiedzić meczet Omara, trzeba mieć dozwolenie ze strony władz tureckich i za osobną opłatą można to obecnie uzyskać — dawniej nie puszczano. Wchodząc do tej świątyni musi każdy zdjąć obuwie i iść boso lub w skarpetkach, albo włożyć pantofle, w jakie służba turecka rozumie się za „napiwkiem" zwiedzających obdarza. Wnętrze świątyni w podziw wprawia widza swą prześliczną budową i nadzwyczajnem przepychem i bogactwem.

W środku świątyni jest odłam skały, otoczony wysoką, delikatną, pozłacaną balustradą, nakrytą adamaszkową czerwoną materyą — jest to właściwe miejsce, gdzie się odbywały ofiary za czasów żydowskich. Pod skałą tą jest wydrążenie, do którego schodzi się po schodkach, i tam pokazuje przewodnik turecki miejsca, na których mieli się modlić: Abraham, Dawid i Salomon. Otóż z tej skały miał Mahomet na białej klaczy unieść się do nieba, porwany przez archanioła Gabryela, a że po drodze Mahometowi wypadły dwa włosy z brody, a archaniołowi ze skrzydeł dwa pióra, więc je chowają Mahometanie w osobnem miejscu ze czcią wielką obok skały. Zaznaczyć należy, że Meczet Omara, tak jak i drugi, El-Aksa, są dla Mahometan miejscami najświętszemi po Mecce i Medynie. W świątyni tej Mahometanie nie pozwalają pod żadnym pozorem chrześcianom klękać i głośno się modlić, to też po cichu każdy z nas odmówił stojąc: Ojcze nasz, Zdrowaś Marya i Chwała Ojcu, gdyż do tego miejsca przywiązany odpust zupełny.

Drugą świątynią turecką na górze Moria jest meczet El-Aksa. Jest on zbudowany na miejscu, gdzie za Justyniana stała bazylika Matki Boskiej, ale przez kalifa Omara na meczet El-Aksa zamienioną została. Tutaj to Najświętsza Panna miała przepędzić swe najmłodsze lata. Cała świątynia spoczywa nad tak zwanemi „Stajniami Salomona". Wspaniała ambona i prześliczne sklepienie złocone, ozdobione misterną robotą i malowidłami, składają się na tę imponującą budowę. Pokazują tu również Turcy ślad stopy Chrystusa na kamieniu, z którego wstąpił do nieba na Górze Oliwnej; skąd go oni tu wzięli, trudno dociec. Salomon, jak również jego następcy i Heród, chcąc powiększyć plac na górze Moria i stworzyć miejsce równe, bardzo wielkie, zbudowali niezliczoną ilość arkad, spoczywających na olbrzymich pilastrach (ozdobnych słupach), z ogromnych sześciennych ciosów kamiennych i stworzyli przez to tah wielkie suteryny, że w nich śmiało mogłaby się pomieścić cała ludność Jerozolimy. Wszedłszy tam, doprawdy zdumiewa się człowiek nad tą olbrzymią, niezmordowaną pracą rąk ludzkich, trwającą stulecia. Dziś chełpimy się postępem wiedzy i sztuki architektonicznej, ale wówczas przed tysiącami lat musieli to być nielada architekci, którzy niemając tych przyrządów i narzędzi co dziś, potrafili wznieść taki kolosalny gmach. Czy owe „Stajnie Salomona" dla koni jego były przeznaczone, tego twierdzić nie można, ale prawdopodobnie Krzyżowcy konie swoje tam pomieszczali. Ponieważ dezerterzy tureccy chowali się często tutaj, więc wiele wyjść pozamurowywano. Pokazują również miejsce gdzie św. Zacharyasz ukrył Matkę Boską, która tutaj przez pewien czas z Dzieciątkiem Jezus przebywała. Od tego miejsca prowadzą schody kręte na plac meczetu Omara i El-Aksa. Plac ten przedstawia się jak olbrzymia platforma, wyłożona ogromnemi

taflami z kamienia, otoczona z jednej strony wysokim murem i wieżami z bramami. Mury te zbudowane są z olbrzymich głazów, a z bram jedna zasługuje na uwagę, tak zwana „Złota brama“, przed którą, jak głosi legenda, zwiastował anioł św. Joachimowi narodzenie się Maryi, Matki Mesyasza. Przez „Złotą Bramę“ odbył Pan Jezus tryumfalny wjazd do Jerozolimy; przez nią w r. 628 cesarz Herakliusz przeniósł na swych barkach krzyż Odkupiciela, przez nią wreszcie podczas wojen krzyżowych patryarcha jerozolimski w Palmową niedzielę, wjeżdżał na osiołku z Góry Oliwnej. Obecnie brama ta jest zamurowaną, gdyż Turcy utrzymują, że gdyby przez tę „Złotą bramę“ weszły wojska chrześcijańskie, toby Jerozolima i świątynia turecka przeszły na zawsze w ręce chrześcian. Z dachu „Złotej bramy“, na który prowadzą schody, roztacza się wspaniały widok na dolinę Cedronu, Józefata i Górę Oliwną.

Oprócz tych zabytków i pamiątek z dawnej przeszłości, są jeszcze inne, ale trudno wszystkie wyliczać.

KRONIKA.

Nasze ryciny. Opis przelotu balonem z Szwajcaryi do Polski podajemy na innem miejscu. Druga rycina nasza przedstawia katastrofę, jaka zaszła w teatrze w Bielsku, na Śląsku, tuż obok Białej, leżącej w Galicyi. Mianowicie w teatrze tamtejszym, który był wypełniony po brzegi, pod koniec ostatniego aktu, gdy wszyscy siedząc w półmroku, wsłuchani byli w śpiew i grę artystów, z hukiem spadło z plafonu na parter rumowisko z gipsatur, zajmujących tam miejsce około 40 metrów kwadr. Gruzy rumowiska dostały się też do lóż. Rozległy się krzyki zranionych, przeważnie w głowę i ręce. Kurz wzniósł się w widowni, zwiększając grozę. Publiczność ogarnął popłoch. Zaczęto cisnąć się gwałtownie ku wyjściom, przyczem wiele osób stratowano. Kobiety mdlały, płakały i krzyczały. Artyści również pospiesznie, nie zdoławszy się przebrać, w kostyumach opuszczali teatr. Wszyscy sądzili, że teatr się wali. Dopiero nawoływania ze sceny uspokoiły nieco publiczność i zapobiegły potratowaniu na śmierć wielu osób. Niebawem przed gmach zajechały straże ogniowe i Tow. ratunkowe. Przybyło także wielu lekarzy z Bielska i Białej. Okazało się, że rannych było przeszło 20 osób, z tego połowa ciężko. Ośm osób odwieziono do szpitala, resztę pozostawiono opiece domowej.

Należy dodać, że teatr w Bielsku jest wyłącznie niemiecki i gdy go stawiano, zastrzeżono w akcie fundacyjnym, iż przedstawienia mogą odbywać się we wszystkich językach, z wyjątkiem polskiego! Tak to urządzają się fabrykanci niemieccy, wzbogaceni trudem naszej ludności polskiej, która pracuje w ich fabrykach.

Parlament zwołany na 20 października. Czesi zapowiadają obstrukcyę.

Szkoła gospodyń wiejskich w Albigowej. Z dniem 1 listopada 1909 rozpoczyna się kurs sześciomiesięczny w powiatowej szkole gospodyń wiejskich w Albigowej obok Łańcuta, w której dziewczęta, córki gospodarzy, kształcić się będą we wszystkich gałęziach gospodarstwa domowego obok kierunku opartego na zasadach religijnych i narodowych. Podania należy wnosić do 20 października b. r. do Wydziału powiatowego w Łańcucie.

Trzy wyroki śmierci. We wsi Olszowicach w Krakowskiem, mieszkała wdowa Anna ze Siatków Kaimowa, licząca lat 58, ze synem Stanisławem, liczącym lat 27 i córką Wiktoryą, liczącą lat 32. Syn Stanisław Kaim, ożenił się dn. 12 lutego 1908 roku z Anną z Marszałków, poznawszy ją na 3 tygodnie przed ślubem jako wychowanicę Stanisława Wawrzynka z Włosani. Młode małżeństwo zamieszkało przy matce i siostrze męża. W trzy miesiące po ślubie porodziła Anna Kaimowa

Teatr się wali!



Katastrofa w Bielsku. (Patrz: „Nasze ryciny“).

córkę, której Kaim nie uznawał za swoją. Dalsze pogorszenie stosunków wywołała okoliczność, że Stanisław Wawrzynek nie dał za wychowanicą obiecanego wiana: drzewa na budowę domu. Cała rodzina Kaimów zaczęła prześladować synową; obie kobiety podjudzały Stanisława Kaima przeciwko żonie. Odmawiano jej pożywienia, bito, poniewierano, wypędzano z domu; raz Stanisław Kaim gonił uciekającą; gdy jej nie dopędził, mówił do sąsiada: „gdybym ją był dognał, jużby nie żyła“. Tego rodzaju pogróżki wypowiadał kilkakrotnie do znajomych. Kobieta opuszczała z tego powodu trzy razy dom mężowski.

Dnia 20 maja b. r. około godz. wpół do 12 przed południem przybiegła matka Kaimowa do najbliższego sąsiada Franciszka Tylki i opowiedziała mu, że synowa popełniła samobójstwo i powiesiła się na belce w przyszopku. Na miejsce udali się Franciszek i Jan Tylkowie i zastali wiszącą na belce martwą już Annę. Obok zwłok stała drabinka. — W mieszkaniu Kaimów nie było wtedy ani męża powieszonej, ani jego siostry; poszli do kościoła na nabożeństwo. Matka Kaimowa ubolewała w te słowa: „Smok, nie mogła się to gdzieindziej w krzakach obwiesić, a nie tutaj w mojej budzie“.

We wsi nie wierzono w samobójstwo. Opowiadano o morderstwie. Wdrożono dochodzenia i prawda wyszła

na jaw. W dniu świątecznym 20 maja rodzina Kaimów postanowiła zgładzić Annę. Około godziny 6 rano Wiktorya Kaimowa wszczęła sprzeczkę z synową i zaczęła ją bić pięścią po głowie. Stanisław Kaim zaczął ją dusić pod gardło. Matka Kaimowa pobiegła do sieni i przyniosła powróz z pętlicami na końcach do zaczepiania nosideł. Mąż wziął powróz i założył przy pomocy matki lewą ręką na szyję żony; prawą dusił ją dopóki nie skonała. Następnie wynieśli zwłoki do przysionka i tam na belce powiesili. Przy sekcyi lekarze nie wykluczyli samobójstwa, a zbrodnię ustalono dopiero w szczegółowem śledztwie. Ostatecznie przyznali się Kaimowie: syn i matka; siostra Kaima, Wiktorya, zaprzeczyła udziału.

Prokuratorya oskarżyła matkę i syna o zbrodnię morderstwa, zaś Wiktoryę Kaimównę, córkę, o współwinę w tej zbrodni. Rozprawa przed trybunałem przysięgłych w Krakowie zakończyła się skazaniem wszystkich trojga. Trybunał skazał Annę Kaimową, matkę, Stanisława Kaima, syna i Wiktoryę Kaimównę, córkę, na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok wykonanym ma być w ten sposób, że pierwsza straconą ma być Wiktorya Kaimowa, następnie matka, a na ostatku syn. Wszyscy trzej obrońcy wnieśli zażalenie nieważności.

Śmierć w studni. Z Żywca piszą: Ślusarz kolejowy Franciszek Siendak z Zabłocia, zajęty odkręcaniem śrub w studni kolejowej, przeznaczonej do czyszczenia z powodu wydobywającego się zapachu nafty ze studni głębokości 4 i pół metra, wszedł po schodkach do studni, gdzie mimo natychmiastowej pomocy wpadł do wody, odurzony gazami i utonął. Jak późniejsze dochodzenia wykazały, w studni nagromadziła się gruba powłoka benzyny, która przedostała się do studni z dworca kolejowego, gdzie na kilkanaście dni przed tą katastrofą pękł kocioł wagonu, napełnionego benzyną w oddaleniu przeszło 80 metrów od studni i benzyna ta przesiąknęła przez warstwy ziemne do studni, powodując katastrofę. Gdy następnie wrzucono do studni zapaloną słomę, aby spalić nagromadzone gazy, nastąpił silny wybuch zapalonych gazów, który dotkliwie poparzył zajętych przy studni robotników i urzędnika kolejowego. Zapalona benzyna w studni płonęła przeszło godzinę.

Przeklęta wódka! W gminie Mogilnicy, powiatu trembowelskiego, zmarł w tych dniach nagle tamtejszy włościanin Wincenty Bieganowski. Jak stwierdzono, zgon nastąpił wskutek nadużycia wódki!!

Morderstwo. Z Oświęcimia donoszą, że znaleziono tam na Zasolu zwłoki zamordowanej dziewczyny, Barbary Potępówny, liczącej około 30 lat. Na głowie jej znaleziono kilka ran; nadto jedną, zadaną w serce, prawdopodobnie sztyletem. Wdrożono poszukiwania za sprawcami ohydnego morderstwa.

Przypowieści ludowe na październik. Miesiąc październy marca obraz wierny. W październiku gospodarze kończą swoje siewy i kiermasze wyprawiają z wesołemi śpiewy. — Szewc w dzień patrona św. Kryspina jest podpity i podpiła też trochę szewczyna. — Teraz już ludzie w domu siedzą, bo już na św. Franciszka (4) w polu się nic nie zyska; więc choć się krząta i wierci i kręci, nic już nie znęci. — Tylko koło pszczół jeszcze cokolwiek pozostaje roboty, a pszczoły wynagrodzą wszystkie poty. — O przyszłem lecie myśli się 16, bo św. Gaweł, choć nie Paweł ręczy jednak za to: jaki Gaweł, jaki Paweł, takie lato. — Coraz zimniejsze powietrze się staje: toteż próżno grzybów szukasz już na św. Łukasz (18); tylko rydz jeszcze się zawadzi, jeżeli mróz go nie zdradzi, bo śron już dokucza nieraz roślinom ogrodowym. — Święta Urszula (21) perły rozsuła, miesiąc wiedział, nie powiedział, słońce wstało, pozbierało. — Słońce nie zagląda już okienkiem a powietrze nie jest tak miękkiem, bo chociaż to babskie lato, ale Szymon i Juda (28) wezmą cięgi za to. Więc po babskiem lecie, zabezpiecz się na śniegowe zamieci, bo od świętego Szymona i Judy — spodziewać się śniegu i grudy — a więc też czas opatrzyć budy.

Pożar. W Rzepniowie wybuchł dnia 29 z. m. pożar we dworze p. Adama Thulliego. Spłonęło sześć wielkich budynków gospodarskich, dużo inwentarza martwego oraz zboża i siana. Szkoda ogólna dochodzi do 50.000 koron.

Utonięcie. W rzece Czarnym Dunajcu utonął w tych dniach Jan Płaza, włościanin z Zakopanego.

Na karę śmierci przez powieszenie skazał w tych dniach trybunał sądu przysięgłych w Rzeszowie 24-letnią służącą, Jadwigę Jajkównę, która udusiła swą kilkumiesięczną córeczkę.

Oszustwa amerykańskie. W New-Yorku policya aresztowała na skutek doniesienia sekretarza austro-węgierskiego konsulatu dwóch Polaków Tomasza Zielińskiego i Jana Sołtysiaka za systematyczne okradanie polskich emigrantów przez kilka lat. Według zeznań dra Wandermayera, sekretarza wzmiankowanego konsulatu, ci dwaj Polacy wydawali swym rodakom, obywatelom austryackim, świadectwa uwolnienia od służby wojskowej, każąc sobie płacić od 20 do 300 dolarów, stosownie do naiwności i zamożności klienta. Emigranci zaopatrzeni w takie świadectwa, wracali często do kraju, będąc pewnymi, iż służby wojskowej już odbywać nie potrzebują, lecz tu czekało ich gorzkie rozczarowanie, gdyż wydane świadectwa były fałszywemi, a posiadacze ich narażali się tylko na śmiech i drwiny. Razu pewnego grupa 20 Polaków z Galicyi, zamieszkałych w Carthage, N. Y. udała się do biura Zielińskiego, gdzie zostali poddani pewnego rodzaju ćwiczeniom, poczem otrzymali świadectwa, uwalniające ich od służby wojskowej, przyczem każdy z tych biedaków zapłacił po 20 dolarów. Firma Zielińskiego posiadała nawet swego notaryusza, który pieczęcią zaopatrywał papiery. Wśród Polaków nie brak oszustów rozmaitego gatunku, lecz zawsze szczęśliwie wymykali się z rąk policyi; dopiero poraz pierwszy wpadli w pułapkę i nie minie ich tym razem zasłużona kara.

Polacy w Winnipeg. Najwięcej Polaków skupiło się w zachodniej Kanadzie w mieście Winnipeg, prowincyi Manitoba. Pierwsi Polacy przybyli tutaj z Galicyi przed 14 laty i jak zwykle pierwszym ich staraniem było wybudowanie kościoła, lecz ponieważ nie mieli pieniędzy, więc weszli w porozumienie z przybyszami z innych krajów i wspólnemi siłami wybudowany został ładny kościół pod wezwaniem św. Ducha. Czesi Polacy, Rusini i Niemcy żyli zgodnie i starali się wszyscy, o jaknajrychlejsze ozdobienie wspólnego kościoła. Z czasem jednak, gdy emigracya do Kanady zaczęła wzrastać, Rusini pomyśleli o budowie dla siebie oddzielnej świątyni, następnie odłączyli się Niemcy i Czesi, a Polacy zostali sami przy parafii św. Ducha. Polacy też wzrastali w liczbę i zaczęli się krzątać koło urządzenia szkoły. Pierwsza szkoła znalazła pomieszczenie przy kościele, ale wkrótce okazała się zbyt małą i wybudowany został wspaniały budynek szkolny. Rząd i miasto przyobiecały Polakom poparcie ze swej strony, lecz niestety skończyło się na obietnicy i cały ciężar spadł na barki parafii. Najprzód w szkole uczyli świeccy nauczyciele i dopiero w roku 1904 przybyły polskie

siostry Benedyktynki które prowadzą szkołę po dziś dzień. Obecnie do szkoły uczęszcza około 300 dzieci, a polskich rodzin w parafii św. Ducha będzie 550 oprócz tego dużo jest kawalerów lub ludzi żonatych, którzy swoje rodziny zostawili w starym kraju. Życie towarzyskie wśród kolonii Winnipegskiej rozwinęło się szybko. W r. 1902 zawiązało się bractwo św. Ducha, towarzystwo bratniej pomocy. W r. 1905 zorganizował się chór kościelny pod nazwą św. Cecylii, w r. 1907 założone zostało towarzystwo św. Stanisława Kostki. Na początku r. 1908 sformowało się gniazde Sokołów, do którego w ostatnim roku przyłączyła się i grupa Sokolic. W początkach r. 1909 utworzyło się Polskie Towarzystwo Emigracyjne. Najnowszą zaś zdobyczą jest grupa Związku Nar. Pol. pod nazwą Bartosza Głowackiego. Wszystkie te towarzystwa zjednoczyły się w jedną wielką grupę pod nazwą „Zjednoczenie towarzystw kościelnych i narodowych pod wezwaniem św. Michała". Pierwsze zaczątki dziennikarstwa polskiego w Winnipegu datują się od r. 1904, kiedy to zaczął wychodzić tygodnik katolicki pod nazwą „Głos kanadyjski". W r. 1905 pojawił się tygodnik „Echo kanadyjskie". lecz po półtora roku zakończył swe życie. Niby ciąg dalszy „Echa kanadyjskiego", wychodziła „Gazeta polska", lecz również po pół roku przestała istnieć, i wreszcie w r. 1908 zaczęła wychodzić „Gazeta katolicka", pojawiająca się co tydzień i istniejąca po dziś dzień i dobrze się rozwijająca.

Strach Anglii przed Niemcami. Angielski lord Northcliffe oświadczył pewnemu dziennikarzowi w Ameryce, że wszystko, co się teraz w Niemczech dzieje, przemawia zatem, że państwo niemieckie zamierza na Anglię uderzyć. Wojny spodziewają się w kilku następnych latach.

Bohaterski pies. Dzienniki paryskie donoszą o następującem ciekawem zdarzeniu: ajent policyjny Dupont w Pontoise miał psa, zwanego „Deder", który odznaczył się wiele razy przy śledzeniu i chwytaniu zbrodniarzy, „Deder", specyalnie znienawidzony przez apaszów (opryszków ulicznych), jest prywatną własnością ajenta, policya zaś osobno utrzymuje psy do śledzenia złoczyńców. Apasze oddawna zasadzali się na „Dedera", lecz pies zawsze wychodził zwycięsko. Jednej z ostatnich nocy banda apaszów, zaczaiwszy się niedaleko dworca, napadła na przechodzącego ajenta, któremu towarzyszył „Deder" i dwa inne psy policyjne; oba za pierwszym atakiem złoczyńców uciekły. Tylko „Deder" pozostał przy swym panu i zaatakował śmiało apaszów, nie zważając na ciosy nożem i uderzenia pałek, sypiące się na niego. Po dłuższej utarczce ajentowi powiodło się przebić do bramy pobliskiego hotelu, gdzie się ukrył wraz z „Dederem", który otrzymał trzy rany od noża i ma złamaną łopatkę. Apasze dobijali się do hotelu, aż spłoszyła ich żandarmerya. „Deder", leczony troskliwie przez dwóch weterynarzy, jest bohaterem dnia w Pontoise i otrzymuje niezliczone a smaczne podarki, z których na razie nie może korzystać.

Zamach na prezydenta Tafta. Znaleziono bombę pod mostem w mieście Juaret, kędy Taft miał przechodzić. Przyaresztowano 30 osób.

Monarcha-potwór. Sułtan marokański kazał pojmanego do niewoli wodza powstańców Bu Hamarę, który go prosił, ażeby go do większej klatki wsadził, wsadzić do klatki ze lwami. Gdy lwy nieszczęsnego kłami poszarpały, kazał go wyciągnąć, i podobno własnoręcznie go dobił. Nieludzkiemu temu aktowi kazał się przyglądać żonom Bu Hamary i rozmaitym urzędnikom. Posłowie europejscy protestują bezustannie przeciwko tym i podobnym okrucieństwom sułtana, ale widać, że nadaremnie.

Jednajcie nowych czytelników,
By rosła siła wśród rolników!

Balonem z Szwajcaryi do Polski.

(Patrz rycinę).

W Zurich w Szwajcaryi odbył się ubiegłej niedzieli konkurs balonów do latania. Chodziło o to, kto dalej zaleci. Stanęło do popisu około 20 balonów z różnych krajów. które razem wzniosły się w powietrze. Niektóre spadły blisko, inne dalej, aż w Niemczech, najdalej jednak zaleciał balon zwany „Ameryka", należący do dwóch żeglarzy powietrznych: jednego Amerykanina, drugiego Francuza, bo spadł aż w Królestwie Polskiem, pod Ostrołęką. Podróż ta, według opowiadania jednego z żeglarzy, tak się odbywała:

Po przebyciu ponad miastem Konstancyą w Szwajcaryi, którą areonauci jeszcze z góry poznali, wznieśli się w niedzielę na wysokość 1.600 metrów, ale żeby osiągnąć tę wysokość, musieli już przed godziną 4-tą rano w poniedziałek pozbyć się prawie połowy balastu, złożonego z 30 worków piasku, gdyż balonowi ich było bardzo trudno utrzymać równowagę z powodu mgły i deszczu.

W tych złych warunkach nadlecieli nad Bawaryę i nagle ujrzeli się w wysokich górach, porośniętych gęstym lasem świerkowym. Wiatr niósł balon po stokach gór, z któremi równolegle balon „Ameryka" to wznosił się na szczyty, to znów opadał w kotliny. Po dwu godzinach takiego lotu, podczas którego kosz balonu niejednokrotnie zawadzał o drzewa i łamał gałęzie, w poniedziałek zrana, balon wydostał się z gór i poszybował w kierunku z południa na północ, a potem na północny wschód. Nie mogąc z powodu ustawicznej mgły i chmur, w których byli pogrążeni, poznać gdzie się znajdują, a będąc tylko pewni, że są daleko od morza i mają ziemię pod sobą, lecieli na oślep dalej z szybkością około 33 kilometrów na godzinę. — W poniedziałek o godzinie 8 m. 55, aeronauci przelecieli ponad Pragą Czeską, którą poznali z góry. Stamtąd wiatr popchnął ich znów o 15 kilometrów w kierunku północno-wschodnim, poczem dostali się w gęste chmury. Stracili więc z oczu ziemię zupełnie. Ta gęstość chmur skłoniła ich do wzniesienia się na wysokość 4.600 metrów nad ziemią, na której to wysokości aeronauci utrzymali się do godz. 1 m. 40 w nocy z poniedziałku na wtorek.

O tej porze balon ich zaczął znów gwałtownie opadać, tak, że nagle ujrzeli się ponad wielkiem oświetlonem miastem, w którego sam środek niemal nie spadli. Zapobiegli temu jedynie przez wyrzucenie reszty balastu posiadanego, a nawet prowizyi, w którą byli obficie zaopatrzeni.

W ciągu całego wieczora i nocy padał gęsty deszcz, który tak znacznie obciążył oponę balonu, że lot jego stawał się coraz cięższym i trudniejszym, co spowodowało p. Mixa do szybszego wylądowania, niż zamyślał, pragnął bowiem zrazu dolecieć do samego Bałtyku.

Nie wiedząc zupełnie gdzie się znajdują, a oryentując się jedynie dostrzeżonemi światełkami na linii ko-

lejowej, aeronauci opuścili się na ziemię i spadli na las iglasty pod samą osadą Gutowo. Tu kosz balonu i sam balon, z którego już gaz w znacznej części uleciał, osiadły na szczytach. Była to godzina 3 m. 3 zrana we wtorek. W tej pozycyi, wobec ciemności i niemożności zoryentowania się, żeglarze powietrzni przepędzili trzy godziny, czekając na światło poranku. Opuściwszy kosz balonu na kotwicy umocowanego, przy wschodzącem słońcu ujrzeli na drodze włościan, których przywołali, oraz gajowego, który zamiast odrazu przybiedz aeronautom z pomocą, uganiał się z psami najpierw za chłopami po lesie, a potem dopiero udało się aeronautom nakłonić ich do udzielenia pomocy i sprowadzenia furmanki.

Śród włościan amerykanin znalazł kilku b. emigrantów do Ameryki, którzy rozumieli po angielsku, co mu ułatwiło też porozumienie się z nimi. O godzinie 1-ej popoł. przybyli aeronauci do Ostrołęki końmi wraz z balonem, złożonym na wozie. Tutaj straż ziemska odebrała od nich pasporty, wydane w Zurychu, w czterech językach, a w tej liczbie i w rosyjskim i poleciła czekać na pozwolenie rządu gubernialnego łomżyńskiego na opuszczenie Ostrołęki. Po załatwieniu formalności pasportowo-urzędowych, cudzoziemcy wyjechali do Paryża. Podróż ich kosztowała około 10.000 franków.

Marcin Mikołajczak

(Zdarzenie prawdziwe).

Kilka mil od Grodziska, w stronach leżących niedaleko od Brandenburgii, pod Prusakiem, znajduje się wieś, nie zawielka, nie za mała — ot taka, jakich mamy wiele w naszej polskiej Warmii. Gospodarze nie bardzo zamożni ludzie, bogactw u nich nie szukaj. Kto jednak sobie statkuje, kto nie próżnuje, a w imię Boże pracuje w roli, którą od ojców dostał do tego bieda nie zajrzy: jest co jeść i wypić i czem się przyodziać i można jeszcze kilka groszy schować na przypadek choroby, lub innego nieszczęścia. Ale takich pracowitych i oszczędnych, to na palcach jednej ręki policzyć można. Reszta zaś bardzo chętnie lubi zaglądać do kieliszka i niejeden tak się w tem rzemiośle wyćwiczył, że wypije od razu kwartę i kwartę i więcej tej opary. To też w karczmie zawsze gwarno, kieliszek krąży w koło, po chwili twarz się czerwieni, jak burak, czapka na bakier, jednem słowem, mina ognista. I gosposie trunkiem nie wzgardzą; czyż to one gorsze od swych mężów. Pije gospodarz, pije gospodyni, piją nawet dzieci, bo nierozumni rodzice już od młodości wlewają w nie truciznę. A gospodarstwo — żal się Boże! Ziemia nie rodzi, bo jej dobrze nie uprawia; bydełko biedne i chude, bo nie ma paszy dla niego. Łatwo przewidzieć koniec takiego gospodarowania. Pożycza się od żydka, dopokąd można pije się — jeszcze więcej wódki.

Dobry trunek — na frasunek, ale w końcu gospodarz nieraz idzie z torbami.

Nie dość na tem, bo gorzałka często tak popsuje człowieka, że nie pomyśli o Sakramentach świętych, o spowiedzi św. i najczęściej schodzi jak bydlę z tego świata, — bez ostatniej pociechy dla swej duszy nieszczęśliwej, jak o tem zaraz opowiemy.

W wiosce tej był gospodarz dość zamożny, którego nazwiemy Mikołajczakiem. Już jako parobczak nieraz sobie zalał mózgownicę, a kiedy się ożenił, zaczął pić na dobre. Mało się troszczył o gospodarstwo, bo miał dorosłych synów, którzy mu wszystkiego doglądali, on zaś doglądał gorzałki w gościńcu. Na każdym targu go widziano, bo chociaż nie zawsze miał co sprzedać, to zawsze miał w mieście interes, tj. kupić kilka kwart wódki. Nieraz ksiądz z ambony wygadywał na gorzałkę, wykazywał zgubne skutki dla ciała i duszy. Mikołajczak słuchał tego wszystkiego, ale... złe go ciągło do karczmy, skąd też nigdy nie wyszedł trzeźwy.

Zbliżał się święty Walenty. Uroczystość to wielka, bo na świętego Walentego, odpust w parafii. Starym zwyczajem każdy kto jeszcze miał Boga w sercu, szedł do spowiedzi św. i o takim człowieku źle mówiono, któryby się w tym dniu nie oczyścił w trybunale pokuty.

Mikołajczak kilka dni przed św. Walentym chodził zamyślony: mało mówił i rzadko już zaglądał do kieliszka. W sam dzień św. Walentego, wstawszy rano z łóżka, odezwał się do żony:

— Matka! chciałbym dziś iść do spowiedzi.

— Idź z Panem Bogiem, mój Marcinie. Toć i ja z dziećmi pójdę do spowiedzi.

W kościele ludu, jakby makiem nasiał! Każdy się cisnął do konfesyonału, aby oczyścić sumienie swoje. Księża mieli roboty nie mało, zwłaszcza, że ich niewielu było.

Już żona Mikołajczaka z dziećmi dawno się wyspowiadała — a Mikołajczak jakoś docisnąć się nie mógł. Zegary wskazywały trzecią godzinę po południu, a tu jeszcze prawie sto osób do spowiedzi. Ksiądz miejscowy oświadczył, że za godzinę wrócą księża i będą dalej słuchali.

Mikołajczak pomyślił sobie: pewnie już dziś człowiek spowiedzi nie dostanie! I coś mu szeptało do ucha: przecież do Wielkiejnocy nie tak daleko, więc się dosyć wyspowiadasz.

„Ale... czyś ty pewien, że doczekasz tej Wielkiejnocy!“ mówił głos drugi...

Chwilę jeszcze myślał Mikołajczak, co ma uczynić i wyszedł z kościoła.

Pokusa zwyciężyła, a Anioł Stróż zakrył sobie oblicze i gorżko nad grzesznikiem zapłakał.

Niedaleko kościoła staja karczma. Mikołajczak wszedł do niej, aby się trochę rozgrzać... Zastał tu już kilku, którzy nie byli u spowiedzi i po nabożeństwie zaraz przyszli do gościńca, aby tam odpustu dokończyć.

— Jaki dzisiaj mróz... — zaczął narzekać Mikołajczak.

— Daj Boże zdrowie — odezwał się ktoś do niego.

I Mikołaj wypił jeden kieliszek, wypił drugi i sam kazał dać gorzałki zmięszanej z czerwoną.

Już się nieszpory skończyły, już wszyscy się wyspowiadali a Mikołajczak siedział jeszcze w gościńcu. Ciemno było na dworze, kiedy opuścił karczmę. Głowa mu jakoś ciężyła, nogi nie bardzo nieść go chciały, więc zaganiał kaczki po drodze. Mikołajczak wrócił do starego nałogu.

Zbliżyły się ostatki: ostatnią niedzielę przed wielkim postem przesiedział w gościńcu i dobrze pijany wrócił do domu. W poniedziałek do siebie pozapraszał znajomych i dobrze ich i siebie uczęstował wódką. Wtorek znowu przepędził w karczmie i nie wrócił jak o północy do domu. W popielec po południu pojechał po drzewo. Wrócił wieczorem do domu i zaczął narzekać, że go w nogach coś pali. Położył się więc w łóżko. Boleści były coraz większe. Nagle stanął w łóżku, zaczął pokazywać rękoma i bić pięściami po ścianie.

— Marcinie, co ci jest? — zawołała żona.

Ale Mikołajczak nic nie odpowiedział, bo zaniemówił i rozum stracił.

Posłano czemprędzej po księdza, ale chory nie poznał nawet, że ksiądz jest u niego. Ciągle tylko zrywał się, chciał z domu uciekać. Ksiądz odmówił nad nim modlitwy, ale spowiedzi wysłuchać go nie mógł. Nakazał jednak, aby natychmiast uwiadomiono go, jeśli chory trochę przyjdzie do przytomności.

Nad ranem przyszła Mikołajczakowa do księdza z prośbą o pogrzeb, bo mąż jej już umarł.

Nad grobem przemówił kapłan bardzo wymownie: mówił o śmierci, która jak złodziej niespodzianie w nocy przychodzi, mówił o pijaństwie, o sądzie Bożym...

Każdemu grzesznikowi Pan Bóg daje łaskę, a kto, jak ów Mikołajczak, tę łaskę, odrzuci, sam sobie winien. Kto sam nad sobą nie ma litości, nad tym i Bóg się nie ulituje!

CENY ZBOŻA.

Targ zbożowy. (Sprawozdanie Syndykatu Tow. rolniczych z targu zbożowego w Krakowie na Kleparzu dnia 12 października (wtorek) 1909).

Wobec małego dowozu towaru a wysokich żądań ze strony producentów targ dzisiejszo wykazywał nieznaczne obroty, gdyż konsumenci, pod wpływem słabej tendencyi giełdy peszteńskiej, zachowują się z wielką rezerwą. Ceny zarówno pszenicy jak i żyta poszły nieznacznie w górę.

Sprzedawano: pszenicę białą od 00·00—00·00 kor., pszenicę czerwoną od 13·50—14·00 kor., pszenicę rosyjską od 13·50—13·80 kor., żyto dw. 10·30—10·80 kor., żyto targowe od 9·60—9·80 koron, jęczmień 8·00 do 8·30, owies na paszę 8·10 do 8·40 kor., nowy węgierski 00·00 do 00·00 kor., kukurudzę starą 9·30 do 9·60 koron, nową 0·00—0·00 koron, kukurudzę Cinquantino 10·50—11·00 kor., groch zwyczajny 11·00 do 12·00 kor., groch Victoria 13·50—14·80, (do siewu) na paszę 00·00—00·00 kor., wykę nową 00·00—00·00 kor., bobik 0·00—00·00 kor., rzepak 14·00—14·50 kor., otręby pszenne 5·90—6·00, otręby żytnie 6·10—6·20, koniczyna nasienna czerwona 00·00—00·00 kor., biała 00·00—00·00, tymotka 00·00—00·00 kor. Wszystko za 50 klgr.





Komunikat Biura handlów.

dla eksportu bydła

c. k. Tow. Rolniczego w Krakowie, ul. św. Jana 2.

Ceny w koronach za 100 kg żywej wagi.

Wiedeń, dnia 11 paździer. 1909 targ na bydło; 12 „ „ „ świnie

Rodzaj	Ilość	SORTA I.	II.	III.
Woły	2898	84—88	76—80	50—64
Buhaje	766	76—82	60—74	—
Krowy	936	74—84	58—72	—
Bydło z paszy .	810	46—88	—	—
Bydło ost. sorty	1437	32—50	—	—
Jałownik. . . .	—	—	—	—
Cielęta bite . . .	2883	138—156	110—132	—
Świnie węgier. .		133—136	120—132	112—128
„ **galic. I.**	15330	124—134	—	—
„ **galic. II.**		—	96—116	—
Knury czyszczone i maciory tuczne			—	100—114

U w a g i: Ogólny spęd bydła o 441 sztuk mniejszy. — Ceny buhai, zwłaszcza przy lepszych sortach od 1—2 kor. niższe, ceny gorszych, jakoteż bydła ostatniej sorty zeszłotygodniowe. Na targu zauważono brak opasów w ogóle — dlatego też woły lepsze uzyskały ceny od 2— kor. wyższe, gorsze zaś od 3—4 kor. wyższe. Ceny krów również podniosły się od 3—4 kor. — Świń młodych o 300 sztuk więcej, jednakowoż ceny od 4—5 kor. wyższe — tłustych o 900 sztuk mniej — ceny od 2—4 kor. wyższe.

Ceny w koronach za 100 kg. żywej wagi.

Kraków, dnia 8 paździer. 1909 targ duży; 12 „ „ „ mały

Rodzaj	Data	Ilość	SORTA I.	II.	III.
Woły	8/10	120	50—75	50—75	—
	12/10	164	180—250	180—250	za sztukę
Buhaje	8/10	57	56—59	56—59	—
	12/10	55	52—58	52—58	—
Krowy	8/10	50	48—58	48—58	—
	12/10	178	74—200	74—200	za sztukę
Jałownik	8/10	86	30—154	30—154	za sztukę
	12/10	97	40—55	40—55	„
Cielęta.	8/10	173	30—87	30—87	za sztukę
	12/10	199	20—70	20—70	za sztukę
Owce	8/10	27	15—26	15—26	„
	12/10	28	12—23	12—23	„
Świnie żywe. . .	8/10	306	—	—	—
	12/10	370	—	—	—
„ bite . . .	8/10	—	146—170	146—170	—
	12/10	—	140—170	140—170	—

U w a g i do targu z dn. 8 października 1909 r.: Spęd bydła nieco liczniejszy niż w poprzednim tygodniu — ceny w wielu wypadkach nieco się podniosły, — ceny świń pozostały zeszłotygodniowe.

U w a g i do targu z dn. 12 października 1909 r.: Spęd bydła znacznie większy niż w poprzednim tygodniu, ceny tak bydła jak świń obniżyły się.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczalk. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.

Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.